

LOTNISKO BEN GURION

Stał już dłuższą chwilę przed wojskowym w oliwkowym mundurze, studiującym uważnie jego paszport. Kontrola graniczna. Lotnisko Ben Gurion. Wojskowy był zasłonięty szeroką plastikową szybą, z małym tylko otworem u dołu, w który Zbigniew Kubitowski wsunął kilka minut temu swój paszport. Za tym wojskowym stała grupa młodych żołnierzy, mężczyzn i kobiet, z ogromnymi – takie przynajmniej robiły wrażenie – karabinami maszynowymi. Niektórzy mieli je powieszone na ramionach na zbyt długich parcianych pasach; któryś trzymał swój karabin myśliwskim sposobem oparty o przedramię; inny pod pachą. Patrzyli na niego smutnymi oczami, bez uśmiechu. K. wyczuwał, że również za jego plecami stoi kilku takich żołnierzy, którzy uplasowali się tam, gdy podchodził do kontroli.

To było pierwsze, uderzające wrażenie na ziemi państwa Izrael. Zastanowiło go to – ci młodzi ludzie bez uśmiechu, z ogromnymi karabinami. Uświadomił sobie, że zawsze, odruchowo, instynktownie, młodość kojarzyła mu się z uśmiechem, nawet z głośnym śmiechem, lekkim ruchem, swobodą, żartem, dowcipem, tańcem, sportem, grą. Tacy byli koledzy w szkole, na studiach, tacy byli jego studenci, tacy byli młodzi poeci przynoszący mu do redakcji swoje wiersze. Och, oczywiście, nie wszyscy, nie zawsze i nie wszędzie. Nie w czasie egzaminów, nie przy niezliczonej ilości innych okazji, gdy obowiązywała powaga. Jednak powaga młodych, których sobie przypominał, była powagą skupienia, a nie smutku, jaki – jak mu się wydało – wyczytał w oczach tych młodych izraelskich żołnierzy. Byli bardzo młodzi, a zarazem bardzo smutni.

Wojskowy kartkujący jego paszport dawał mu dużo czasu na te myśli. Odwrócił głowę i spojrzał na grupę żołnierzy stojącą za nim. Uśmiechnął się. Nie otrzymał uśmiechu w odpowiedzi. Patrzyli na niego uważnie, z zainteresowaniem, tak, oczywiście, najwyraźniej, jak na obcego.

Młodzi chłopcy, w rozchełstanych mundurach, poczochrani, pod niedbale nałożonymi furażerkami, milczący, bez uśmiechu. Dołączyło do nich kilka dziewcząt w mundurach. Te były uczesane starannie, z ostro podmalowanymi ustami i podcienionymi powiekami, także z tymi ogromnymi karabinami, i także bez uśmiechów. Chłopcy i dziewczęta półgłosem wymieniali między sobą uwagi w niezrozumiałym dla przybysza języku. Podobne grupki żołnierzy widać było za każdym pasażerem podchodzącym do licznych okienek kontroli paszportowej. Stali. Pilnowali. Patrzyli smutnymi oczami.

Wciąż pochylony nad jego paszportem oficer sięgnął tymczasem po telefon i z kimś rozmawiał rzucając raz i drugi okiem na pasażera stojącego przed jego stanowiskiem.

– Czy oni mnie w ogóle tutaj wpuszczą? – pomyślał K.
– Może cały ten pomysł z eskapadą do Izraela był głupi, niepotrzebny, szalony.

A było to tak, że gdy otrzymał zaproszenie na Światowy Festiwal o nazwie „Poesia Mundum in Publico” w Tel Aviv, najpierw długo zastanawiał się, czy warto podejmować trud podróży, narażać się na zmianę klimatu, na nocowanie w nie wiadomo jakim hotelu, jedzenie jakichś potraw, może i smacznych, ale zapewne niezdrowych z punktu widzenia diety, którą stosował, spotkanie się z nowymi i ciekawymi ludźmi, ale pewnie także z nudziarzami, jakich nigdy nie brak na takich zgromadzeniach.

Nie był nigdy na Bliskim Wschodzie. Nie było okazji. Choć podróżował wiele po świecie – oczywiście po Europie, ale był także dwa razy w Ameryce, raz w Brazylii, raz w Chinach. W Izraelu nigdy. Więc byłaby to eksploracja „łądów nieznanych”, jak mówi Hamlet. A przy tym organizatorzy oferowali znakomite, atrakcyjne warunki: zwrot kosztów biletu lotniczego klasą business, opłacenie hotelu, hojne dietyienne, a na dodatek honoraria za udział w spotkaniach autorskich. Gratka. W programie festiwalu były przewidziane także dni przeznaczone na dwie „wycieczki turystyczne”, jak napisano, po Jerozolimie i nad Morze Martwe, tu z uwagą, aby zaopatrzyć się w kostium kąpielowy. To też kroilo się atrakcyjnie.

Jak zawsze przy takich okazjach sprawdził dokładnie, kto przysłał mu to zaproszenie. Pochodziło z The Hebrew University of Jerusalem. Podpisane było przez przewodniczącą komitetu organizacyjnego festiwalu, profesor Esther Levi.

Także swoim zwyczajem „wygugłał” nieznane mu nazwisko. Ta uczona miała porządne hasło w Wikipedii. Zwróciło jednak jego uwagę, że w rozdziale biograficznym było napisane, iż urodziła się w Warszawie w 1955 roku (była więc jego rówieśnicą) i tamże studiowała Literaturę Polską.

– Polonistykę? – zastanowił się. – Nie miałem takiej koleżanki. Chociaż – myślał dalej – mogła być o rok wyżej, bo ja, gdy zdawałem, i jak sądzę, zdałem bardzo dobrze, egzamin wstępny na Polonistykę, to nie zostałem przyjęty, z moim inteligenckim pochodzeniem, z AK-owską przeszłością moich rodziców.

Przypomniat sobie, jak podchodząc do egzaminu wstępnego na Uniwersytecie Warszawskim po raz drugi, nie wpisał w ankiecie personalnej w rubryce „pochodzenie” sakra-

mentalnej formułki: „int. prac.” („inteligencja pracująca”), tyko „robotnicze”, bo – nieprzyjęty na studia poszedł do pracy, po prostu, na budowę i był przez kilka miesięcy zwykłym robotnikiem, pomocnikiem mularza. Z tak wypełnioną ankietą, a na dodatek ze „skierowaniem na studia w drodze awansu społecznego”, jaki wystawiła mu „personalna” w biurze budowy, na studia się dostał o rok później od swojego rocznika.

– Więc ta kobieta, ta profesor Levi, choć rówieśnica, mogła być o rok wyżej ode mnie. A wydział duży. Nie znało się wszystkich.

W biogramie profesor Levi nie było – co go mocno zdziwiło – nic więcej o, długim przecież, rozdziale jej życia w Polsce. Tylko, że w 1984 r. przeniosła się do Izraela.

– Zaraz, zaraz, jeśli skończyła tę Polonistykę gdzieś we wczesnych latach siedemdziesiątych, to musiała gdzieś pracować w Polsce przez około dziesięć lat. I nic o tym? Gdzie pracowała? Co robiła? Nic? – Ano, nic. Intrygujące. Przecież wygląda na to, że była moją koleżanką, polonistką.

Jeszcze chwilę grzebał wtedy w Internecie, ale niczego się więcej o tej profesor Levi nie doszukał. W Wikipedii było tylko, że w Izraelu uzyskała doktorat z literatury porównawczej, wykładała, została profesorem, od lat była dziekanem Wydziału Literatury Porównawczej na Uniwersytecie w Jerozolimie. Miała solidną, choć niezbyt długą listę publikacji książkowych na tematy literaturoznawcze w hebrajskim, a także w niemieckim i rosyjskim – najwyraźniej znała te dwa języki. Nie zajmowała się literaturą polską, choć, jak wynikałoby z jej życiorysu, musiała znać język polski.

Były też w Internecie fotografie tej kobiety. Jej twarz wydała mu się jakby znajoma, ale przecież nie znał w War-